

Przetom

Redaktor:

Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Dr. Witold Lewicki: Koncentracya</i>	513
<i>Karol Wróblewski: Renan i jego czytelnicy</i>	518
<i>J. Kreibitz: Pokusy św. Antoniego</i>	525
<i>Z. Gostomski: O zaniku szlachty niemieckiej</i>	540

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Włh. Frick, I. Graben Nr. 27
 we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
 w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.

TREŚĆ dotychczas wydanych zeszytów:

- No. 1. Od redakcyi. — *Dr. T. Rutowski*: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe. — *Ks. Dr. A. Kopyciński*: Rola księdza polskiego. — *Prof. A. Wachnianin*: Stronnictwa na Rusi halickiej. — *Prof. Dr. A. Sokolowski*: Uwagi krytyczne nad historią powstania styczniowego. I. — *Dr. Witold Lewicki*: Ad limina Apostolorum.
- No. 2 u. 3. *Stanisław Szczepanowski*: Racyonalizm narodowy. — *Dr. T. Rutowski*: Reforma wyborcza. — Budżet Królestwa Polskiego. I. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Fryderyk Nietzsche. — *Dr. Witold Lewicki*: Francesco Crispi. — *Jan Skrzydlewski*: O ruchu muzycznym we Wiedniu.
- No. 4. Przesilenie w Koalicyi. — *G. Smólski*: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna. — Budżet Królestwa Polskiego. II. — *Roman Lewandowski*: Salon wiedeński.
- No. 5. Po upadku koaliccyi. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Jednostka a społeczeństwo. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Monista mistyk. — *Zygmunt Bytkowski*: Maurycy Maeterlinck.
- No. 6. *Dr. Witold Lewicki*: Paszkwilantom. — *Dr. Tadeusz Rutowski*: Fabrykacya opinii krajowej. — *Antoni Fibich*: Ruch chłopski na Mazurach. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. I.
- No. 7. *St. Szczepanowski*: Sytuacya polityczna w Austrii. — *Dr. August Sokolowski*: Leliwa. — *Zygmunt Bytkowski*: Intérieur.
- No. 8. Dzień Cylei. — *T. R.*: Ministerstwo Madeyskiego. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Kultura etyczna. — *S. Z. Dański*: Kartka z życia umysłowego Poznania.
- No. 9. *Stanisław Szczepanowski*: Nowe kierunki w prasie „postępowej”. — *Dr. Witold Lewicki*: Stambułow. — *Dr. Anna Wyczółkowska*: O psychologii indywidualno-eksperymentalnej — Fraszki Rodocia. — *Roman Lewandowski*: Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych. — *M. Wierzbński*: Z salonu londyńskiego. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. II.
- No 10. Pierwszy strzał. — *Jan Sawa*: Sen Jermaka. — *W. Gedroję*: Wybory w Anglii. — *S. Z. D.* Listy z Niemiec. III.
- No. 11. *Stanisław Antoni Prus*: Do Redaktora „Przełomu”. — *Dr. Witold Lewicki*: Sejmiki prowincjonalne we Francyi. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Franciszek Brentano a historia filozofii. — *W. Lutostawski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim.
- No. 12. Konfederacya Rzeszowska. — *M. Wierzbński*: Prof. T. H. Huxley. — *W. Lutostawski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim. — *Ludwik Szczepański*: W ramach z filigran.
- No. 13. *Dr. Witold Lewicki*: Bańki mydlane. — *Prof. Ludwik Gumpłowicz*: o sprawie polskiej. — *Stanisław Lewandowski*: Głodna sztuka. — *Karol Wróblewski*: Współczesne malarstwo angielskie. — *W.*: Skrucha.
- No. 14. *Dr. Witold Lewicki*: Walka klas. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Filozofia współczesna o nieśmiertelności duszy. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Władza państwowa.
- No. 15. *Dr. Witold Lewicki*: Do broni. — *II. S.* Pamiętnik bratańca królewskiego *Ks. Stanisława Pouiatowskiego*. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Metafizyka duszy.
- No. 16. *Dr. Witold Lewicki*: Poezya w polityce. — *Teofil Merunowicz*: Kwestya upowszechnienia ubezpieczeń w Galicyi. — *M. Wierzbński*: Józef Chamberlain. — *Karol Wróblewski*: Lukrecyusz i nowoczesny pesymizm. — *Pius Twardowski*: 212. rocznica Sobieskiego pod Wiedniem.

Dla P. T. Duchowienstwa i nauczycielstwa obniżamy prenumeratę do połowy, to jest kwartalnie 1 zlr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.



Wiedeń, dnia 14 września 1895.



Koncentracja.

... „Słyszę od dłuższego czasu, że o ludziach, którzy rezultatów szukają w sumiennej, energicznej, konsekwentnej pracy, mówi się, iż zdradzają demokrację. I mnie spotkał ten zarzut. Jeżeli istotą demokracji polskiej ma być walka klas, jętrzenie i rzucanie pogardy na całe klasy społeczne — to ja panowie istotnie demokratą nie jestem i takim demokratą nie będę. Jestem demokratą starej — innej szkoły, tej szkoły, której wychowawców nazywają nieukami dlatego, że nie wierzą, iż sprawiedliwość społeczna tylko walką klas osiągnięta być może. Ale cokolwiek będzie, ja i cała stara szkoła tej zasady nie przyjmie, bo to nie dla naszych stosunków. Nasza przyszłość nie na tej drodze! Są ludzie, którzy chcą „zcałkować“ społeczeństwo przez „różniczkowanie“, ależ panowie! nas dosyć różniczkują nasi wrogowie. Tam, gdzie jak u nas, można trafić do serca i sumienia — nie trzeba iść na noże. Do obywateli polskich zawsze przemówić można, gdy się weźmie argumenty serca i dobra sprawy ogólnej — do nich trafić można zdrowym, ojcystym argumentem. Tym przekonaniom hołdowałem i hołduję. Kto wierzy w przyszłość przez walkę klas — niechaj na mnie nie głośnie, ale kto wierzy w rozsądną, spokojną, ale energiczną i konsekwentną pracę, może mi oddać głos w przeświadczeniu, że jakim byłem, takim zostanę do grobu.“

Te słowa padły z ust szefa demokracji polskiej w Galicji, Tadeusza Romanowicza, wśród przeciągłych oklasków zgromadzenia przedwyborczego na ratuszu lwowskim.

Słowa te w tej chwili z tych ust i w tem miejscu wypowiedziane, nabierają doniosłego znaczenia.

W szeregu artykułów, poświęconych rozbirowi obecnego ruchu wyborczego, wskazywałem, że walka klasowa nie odpowiada ani naszym rodzimym wzorom polityki, ani naszej dotychczasowej tradycyi, że wrócić należy do naszego własnego typu polityki narodowej, że ten typ narodowy działania politycznego polega na obudzaniu poczucia obowiązków obywatelskich w warstwie panującej, doprowadzaniu jej do zrozumienia potrzeb narodowych, przeświadczeniu, że ustępstwa leżą w interesie całego narodu. U nas wszystko się wskóra apelem do ducha obywatelskiego, a nie walką klas.

Wtedy uczyniłem różnicę między tłumem, to jest kupą jednostek, mających osobiste zachcianki, a ludem, to jest narodem, który się podnosi ze swej bierności do historycznego działania.

A wtedy na jaw wyszła stara jak świat różnica między demagogią a demokracją, między agitatorstwem schlebającym tłumom i głoszącem brednie, które się tym tłumom podobają, a demokracją polską, pracującą nad przysporzeniem krajowi obywateli, obznajomionych z prawdą i podniesionych do zrozumienia myśli narodowej i posłannictwa Polski. W przemówieniu członka Wydziału krajowego szczególniejszy jest położony nacisk na tę różnicę między tą nowomodną demagogią a demokracją dawnego autoramentu, „demokracją tej szkoły, której wychowawców nazywają nieukami, dlatego że nie wiążą, iż sprawiedliwość społeczna tylko walką klas osiągniętą być może“.

Poseł Romanowicz z całą odwagą i śmiałością to rozgraniczenie uczyniwszy, podjął rękawicę, rzuconą lewicy sejmowej i pierwszy na gruncie lwowskim stanął w szranki z radykalizmem. Więc po jednej stronie stoją wszyscy posłowie demokratyczni sejmowej lewicy, a po drugiej stronie pan Jägermann, pan Reger i pan Diamand. Po jednej stronie sterani, w służbie publicznej mężowie pracy i zasług, po drugiej radykalni młodzieńcy, spędzający wakacje na podróżach po kraju, wygłaszający mówki na temat, że „nie trzeba rzezać szlachty, bo się za to do kozy idzie“.

W patryotyzm panów Jägermana, Regera i Diamanda musimy wierzyć na słowo, (kiedy oni sami zapewnniają, że Polskę kochają i dla Ojczyzny pracują) trudno bowiem im zaglądnąć w serce i zatrząść trzewiami, aby się dowiedzieć, co w nich siedzi. Naród w niewoli nie może odpychać nikogo z obcych, który się do niego przyznaje. Ale przyjdzie czas próby, wtedy się pokaże, kto czyj.

Na dziś zawsze to jeszcze patryotyzm świeżej daty.

Tym ludziom uroiło się, że oni mają jakąś treść duchową, która ich uprawnia do roli przewodców, już im się przez sen widziało, jak to oni zapanują w ratuszu, jak zostaną posłami, jak będą pioruny rzucać w Sejmie, jak tam każdy swoje będzie próbował, gorączka ich rwała, mnóstwo młodych ambicji przyłączyło się do tego ruchu, a że w mieście nikt się z poważnych nie ruszał, na ratuszowe produkcje nikt z ludzi starszych, zacnych, szanujących się nie chodził, więc im się ubzdrzyło, że na ratuszu zapanowali, i że lada chwila konwent ogłoszą.

Trzeba więc było raz tę bezczelność uskromić. Więc nie ochylając rzeczy, poważna część obywatelstwa zwołała sejmik relacyjny na ratusz. Tlum poczuł munsztuk na gębie i Jägermanowscy widząc, że na opresję zanosi się, pary z ust nie puścili. Uraził ich Goldman, uraził Romanowicz. Oni to dobrą miną pokrywali, kręcąc się, jak wąż w sidle.

Stał się cud, jak powiada jedno z najpoważniejszych pism lwowskich, zgromadzenie na ratuszu odbyło się bez zgorzenia. Stał się i drugi cud, bo większość zebrania przyklasnęła pełnym ducha obywatelskiego słowom posłów lwowskich, którzy jednym zamachem odcięli się od ogona radykalnego — bez ujmy dla swej popularności, a z korzyścią dla sprawy postępu stanęli tem silniej w mieście i nie ulega wątpliwości, że za ich odwagę, za śmiałość słowa i w uznaniu rzetelnej pracy stolica ich ponownie swem zaufaniem obdarzy. Były i interpelacje. Ale głos ich przebrzmiał jak szum młynów pustych.

Jedną tylko usłyszał Lwów nową Buchmanową radę:

„Proszę o głos!” zawołał pan komisarz z Klecka,
Człowiek młody, przystojny, ubrany z niemiecka

.

„Proszę o głos!“ powtórzył, po dwakroć odchrząknął,
Uklonił się i usta dzwięcznymi tak brząknął:

„Preopinanci moi w szych głosach wymownych
Dotknęji wszystkich punktów stanowczych i głównych,
Dyskusję na wyższe wzniesli stanowisko.
Mnie tylko pozostaje, w jedno zjąć ognisko
Rzucone trafne myśli . . .“

Więc palnął mówkę na temat kwestyi robotniczej, ubezpieczenie starości, opieki nad lasami, reformy szkolnictwa, a ponad wszystko radził: uczyć historyi w języku niemieckim. Na szczęście bez powodzenia. Odpowiedziano mu we Lwowie jak niegdyś w Dobrzynie:

Panie Buchman, waścina rzecz bardzo wymowna,
Ale wymowa szum drum: kropić to rzecz główna.

Epizod ten choć krótki, był niemily.

* * *

Lwów dał przykład, jak należy zabierać się do walki z demagogią. Można i trzeba być postępowym, wzmacniać i rozszerzać myśli i instytucje demokratyczne, można i trzeba sympatyzować z obudzonym, lub obudzającym się narodowym ruchem włościańskim, nie stawać mu na wstręcie, nie zwalczać zerami zacnych i rozumnych włościan, kandydujących do Sejmu, ale równocześnie trzeba baczyć, by ruch ten był samoistny, z łona samego włościaństwa idący, aby nie opanowali nim ludzie, którzy egoistyczne cele mając na oku, tyle o ten lud dbają, co o śnieg łuskiego roku. Trzeba przeciw fachowym podżegaczom i siewcom nienawiści klasowej wystąpić z całą stanowczością, trzeba ich odciąć od ludu i groźnie zawołać: **h a n d s o f f !**

Tu wielkie, ważne, o przyszłości naszej decydujące zadanie ma do spełnienia Sejm. I jeżeli na drodze zrównania ciężarów publicznych w ubiegłym sześcioleciu uczyniliśmy znaczny krok naprzód, to zadaniem najbliższego Sejmu musi być usunięcie wszelkich pozostałych jeszcze nierówności i uciążliwości w obowiązkach publicznych. W pierwszym rzędzie paść musi ustawa drogowa, nieszczęśliwy owoc kompromisu Ateńsko-Podolskiego, paść musi i druga baryera między gminą włościańską a ob-

szarem dworskim, starannie konserwowana ustawa gminna z 12. sierpnia 1866. Trzydziestoletni jubileusz naszych urzędzeń samorządnych przypada za rok. Dzień ten powinien być święcony wprowadzeniem nowego prawa gminnego, stworzeniem pierwszej podstawy nowożytnego państwa: **gminy zbiorowej**. Sejm najbliższy musi usunąć ostatnie resztki ustroju feudalnego, tak żeby nie było cienia z nierówności w ciężarach publicznych. W ten sposób jednym zamachem wytrąci się z rąk agitatorskich jedyną broń, którą dziś tak skutecznie wojują. Wtedy rozbiją się wszystkie prace nienawiści, wszystkie nadzieje zemsty o niewzruszoną opokę sprawiedliwości.

Ten program musi być przeprowadzony z postanowienia, z woli własnej i z animuszem bez żadnego hamletowskiego wahania i rozważania.

„Kto się waha, ten się urodził do słów nie do czynów.“

Mam tę wiarę, że znajdzie się nie większość, ale jedynomyślność w Sejmie na przeprowadzenie tych niezbędnych reform. Jest bowiem w narodzie polskim nie tylko głębokie, powszechne uczucie poczciwości i zacności, ale jest i poczucie sprawiedliwości. Nie konserwujemy kwasów społecznych.

Do przeprowadzenia tych zadań Sejm przyszły musi stanąć rozwiniętym frontem, żadne podziały na większość i mniejszość sejmową w dzisiejszym stanie rzeczy nie mają sensu. Żadne Unie konserwatywne, żadne naśladownictwa klubów — jeden Sejm i jedna Unia.

Kiedy nieprzyjaciel ukazuje się z flanków, wtedy wódz siły jednoczy, chorążowie otrębują koncentrację. Byłoby śmiesznem dziś wobec grożącego sprawie narodowej niebezpieczeństwa dzielić się na obozy: armia narodowa musi iść dzisiaj skoncentrowana rozwiniętym frontem.

Witold Lewicki.



Renan i jego czytelnicy.

James Darmsteter,¹⁾ obyczajem paryskiego publicyisty powiedział, że na rachunek Renana, podobnie jak o kobiecie, mówić można sprzeczności, jakie się tylko żywnie podoba, a zawsze mieć się będzie po swej stronie słuszność. Jest to lekkie bonmot, a jednak nie bez głębokiej prawdy.

Nie było i podobno nie będzie rychło autora, o którym piszono by tyle najdziwaczniejszych sprzeczności, którego pamięć wielbiono by aż do apoteozy, to znów przeklinano aż do nienawiści i wzgardy.

W samej Francji „Temps“ dzień śmierci Renana nazwał zgaśnięciem słońca wieku, „Débats“ żegnały w nim starca, sytego zasłużonej sławy, „Lanterne“ proroka, „Figaro“ ducha archanielskich wizyj, Salomon Reinach z „République française“ wołał ze wschodnim patosem: Mistrzu, śmierć twa jest ciosem nie tylko dla narodu, ale dla całej ludzkości! Natomiast ognisty E. Drumont w zupełnie inne uderzał struny.

„Ten wywłoka seminarzycki — powiada z właściwą sobie werwą — Chrystusa słuchać nie chciał, a w cztery dzwony gwał się i płaszczył, jak zakrystyanin-gasiświeczka przed możnymi świata. O prawdzie życia i cierpieniach ludzkości wiedział tyle, co kret o słońcu. Był to kret i zakrystyanin w jednej osobie — un bedand badaud, jak trafnie go scharakteryzował rzeźbiarz Préault“.

Revue générale (Bruxelle 1892 p. 80) zestawia cały szereg zdań nawet liberalnych Francuzów, które są prawdziwym sądem skorupkowym na autora „Kapłana z Nemi“.

Ta różnorodność sądów o Renanie nie byłaby mi dziwną we Francji, bo to kraj brawury i ostateczności, ale to samo widzimy w chłodnej i więcej przedmiotowej Anglii.

Jedni na cześć Renana pieją peany, głoszą dytyramby niby żywcem przepisane z jakiego panegiryku osławionego secento,

¹⁾ Critique et politique. Préface de Mary Darmsteter. Paris 1895.

druzdy Życie Chrystusa nazywają wzgardliwie romansem dla starzych zdenerwowanych guwernantek i fachowcy pobłażliwie na wzmiankę o nim wzruszają ramionami: He was a very poor Hebraist, his „Histoire du peuple d'Israel“ was of „non of non more value than a novel“.

Gabriel Monod, sprawozdawca „Contemporary Review“, przeciwnie w wspomnieniu pośmiertnem o Renanie nie wiedział, jak ma kulbaczyć pegaza panegiryku, gdzie szukać dlań liści wawrzynu na wieńce, promieni do nimbu.

„Rysem charakterystycznym — czytamy tam — dla którego Renana musimy liczyć do najgłębszych myślicieli świata, jest jego dar odtwarzania natury i dziejów. Porównywano go z Wolterem, który podobnie jak Renan był tłómaczem (mouthpiece) owego czasu i ludzi. Wolter wszelako nie rozporządzał takim zasobem wiedzy, jak Renan, nie miał oryginalności jego poglądów, nie był takim czarodziejem słowa.

Porównywano go z Goethem, ale duchowe horyzonty Goethego nie są tak rozległe, bezbrzeżne. Renan objął duchem wszystko, cokolwiek może wejść w sferę poznania: Chiny, Indye, świty dziejowe Fenycyi i Chaldei, starożytną Helladę i wieki średnie, dobę dzisiejszą i groźne jutro ludzkości — wszystko to Renan zgłębił, zrozumiał.

Nikt nie zdołał tak wpić się myślą i wsłuchać w tajemnice dwóch dusz równie ognistych, choć tak odmiennych, św. Franciszka z Asyżu i Mahometa, jego to jedno i to samo pióro skreśliło modlitwę na Akropolu i obraz sztuki XIV. stulecia“.

Czegóż więcej jeszcze chcemy? A tout bonheur, tout l'honneur.

Jak we Francyi i Anglii, tak i w Niemczech chór entuzjastycznych uniesień i zachwyków dla Renana równoważą prawie głosy oburzenia i bezwzględne potępienia go.

Tak n. p. Dr. Goldmann z emfazą „eines deutschen Michels“ pisał swego czasu o Renanie we „Frankfurter Zeitung“, że po rybaku Piotrze i robotniku namiotów Pawle, Renan jest ostatnim apostołem Chrystusa, głoszącym nie dogmata, ale prawdę historyczną, odzianą nie w zgrzebną szatę szorstkiej mowy rybaka Piotra i białoskórnik Pawła, lecz w styl uskrzydający myśl każdą, pełen rytmu i archanielskich dźwięków. Dzieła jego pozostaną zawsze dla ludzkości biblią i wyrocznią w jej pochodzie do przyszłych ideałów.

Od tego bombastu dziwnie rażąco odbija głośny artykuł O. Baumgarten (Stimmen aus Maria-Laach) w którym Renan traktowany jest en canaille jako apostata, gorszyciel, warchoł, a nawet kiepski stylist.

Kim zatem jest Renan, jaką jest jego duchowa treść, dla czego wystąpieniem swem potrafił wzbudzić w ludzkości ruch i zamęt mrowiska, jakie są przyczyny tak różnorodnych sądów o nim?

W publicystycznym zawodzie zaznaczył Renan swą działalność, jako badacz językoznawstwa, filozof i polityk, a wreszcie jako poeta. „Historya i system porównawczy języków semickich“, dzieło napisane w dwa lata po porzuceniu seminaryum St. Sulpice (1848) zapewniło mu nadzwyczajną profesurę i rodzaj stypendyum państwowego na podróż do Włoch. Owocem tej podróży jest praca o arabskim tłumaczu i komentatorze Arystotelesa, Averroesie, który z Avicenną i Al-farabim bezwiednie torował drogę scholastyeczności wieków średnich.

Jako profesor języków semickich brał Renan udział w zjazdach orientalistów, jako filozof występował tylko z ogólnikowemi poglądami, jako polityk nie odegrał żadnej wybitnej roli.

Z filozoficznych jego dramatów (1888) dwa są satyrą na Gambettę (Caliban, suite de la Tempête, L'eau de Jouvence); dwom innym (Le prêtre de Nemi) nawet bardzo pobłażliwi zarzucali zbyt cynizm erosu i za wiele biblijnych reminiscencyj, które zresztą wiecznie za Renanem się wlokły.

Pracą życia wszelako, której Renan zawdzięcza swą sławę, a i okazałą fortunę, jakby to najlepiej mógł powiedzieć jego wydawca Levy, były krytyczne studia o Chrystusie i chrystyanizmie. Stanowią one zwartą w sobie i zupełną całość. Punktem środkowym jest oczywiście „Życie Chrystusa“, uzupełnieniem jego: „Les Apôtres“ (1868), „Saint Paul“ (1869), „L'Antéchrist“ (1871), „Les Évangiles et la seconde génération chrétienne“ (1877), „Église chrétienne“ (1878), „Marc Aurèle et la fin du monde antique“ (1882).

„Index général“ (1883) ma ułatwić pogląd na dzieje prastarego chrześcijaństwa; „L'Ecclésiaste“ (1882), „Le judaïsme et le christianisme“ z krytyczno-historycznego punktu widzenia zastanawia się nad prorockimi typami królestwa Chrystusowego w St. Zakonie.

Oczywiście Renan wychodzi z zasady bezwzględnego przeczenia wszelkiej nadprzyrodzonej inspiracji i objawienia. Biblia jest księgą ludzką, jak wszelka inna, cuda legendami, prorocтва złudzeniem; Chrystus rabbim, upadek grzechowy i odkupienie misterną tkaniną legend z dzieciństwa ludzkości, nauka o Trójcy św. przeróbką greckiej spekulacji.

Apostołowie figurują jako urojenicy i marzyciele, pierwsza gmina chrześcijańska była bractwem pietystycznym bez dogmatu i hierarchii, ale z wspólnemi biesiadami i wspólnością dóbr. Roz-

szerzenie się jej podkopało podstawy państwa rzymskiego, bo w ascetycznych doktrynach otrętwiał i zanikł praktyczny zmysł obywatela, chromał handel i przemysł, nauka i sztuki wikłały się w myty i urojenia. Cześć obrazów i świętych, której gorliwymi krzewicielami byli mnisi, zrodziła nowy rodzaj zabobonu, przez nich też zwyciężyły na koncyliach najdziwaczniejsze dogmata. Jak dzieje chrześcijaństwa, tak i cały Stary Zakon jest mytem bujnej wyobraźni żydowskiej.

Dawid, to wędrowni sultan z mistycznym polotem, Salomon nowożytnym pesymistą, Amos trybunem ludu, Ozeasz pamphleciścią, prorocy demagogami, luzującymi się kolejno spiskowcami przeciw absolutyzmowi królów etc. etc. Racyonalizm niemiecki wprawdzie dawniej już te same podnosił zarzuty, pamflet Straussa tak samo odsądzał Chrystusa od Bóstwa i całe chrześcijaństwo w potworną zmieniał karykaturę, ale między nim a Renanem ta zachodzi różnica, że pierwszy burzy wiarę z gwałtowną zaciętością Cymbra lub Wandala, drugi szczepi jad z uśmiechem na ustach; pierwszy kopie zuchwale przepaść wątpienia, drugi umie ją zakryć kwiatami frazesu jako prawdziwy wirtuoz stylu, lechtający nerwy pięknosciami obrazów; pierwszy w bluźnierstwie rzechocze, jak w konaniu ów Julian Apostata przeszyty strzałą perską, drugi śmieje się śmiechem paryskiej subretki.

Co jednak Renanowi zapewniło taką poczytność i wzięcie, nie tyle leży w nim samym, co w usposobieniu i sercach jego czytelników. Poeta dobrze określił chwilę dzisiejszą:

. . . najsmutniejszy jest duchowy schyłek.
Zamierającej powoli epoki,
Na którą cały szereg błędów i pomyłek
Za dni ostatnich rzuca cień głęboki.

Szalenstwem byłoby oskarżać dobę dzisiejszą o brak postępu i zastój umysłowy, ale trudno nie przyznać, że epoka to bezmier- nie wyjąłowiona, czcza i pusta duchowo.

Niepodobnem n. p. byłoby wyliczać wszystkich cudów dokonanych nożem zuamienionych chirurgów, tomy trzebaby pisać o bakterjologii i seroterapii; Ferraris, Thompson, Tesla i Edison dokazali zjawów w dziedzinie elektryczności; hypnotyzm i telepatya stała się znakomitą ilustracją psychologii, wykopaliska Schliemanna w Orchomenie, Troii, Mycenach rzuciły nowe światło na historję grecką; tłumaczenia sanskrytu i ksiąg chińskich, arabskich, wykrywanie coraz to nowych papyrusów i pomników pisma klinowego rozświeca zarania ludzkości. Z tem wszystkim jednak cały kie-

runek duchowej pracy człowieka jest dziwnie bizantyński, albo na wskrós kupiecki. Ludzie zajmujący się nauką, a takich garstka niewielka, są albo specjalistami, którzy całe życie poświęcać gotowi enklitykom greckim, lub studyowaniu wycieczek, albo kupcami, starającymi się, fachową znajomość przedmiotu najprędzej zyskać i najlepiej sprzedać.

Poglądu filozoficznego, dającego rozwiązanie na wszystkie zagadnienia życiowe napróżnobyś szukał przy dzisiejszem bankructwie rozumu. Prawnik znający wszystkie kruczki mecenasowskie, wikłać się będzie w sprzeczności na pytanie o ostateczną normę prawa, fizyolog nie powie określenia życia, brak nam wszystkim tego, co Niemcy nazywają „Weltanschauung“, brak wykształcenia i przewodników filozoficznych, boc wspominać Nietzschego, Wallace'a i Spencera, to mówić o błędnych ognikach.

Jeżeli ci, co na wyżynach stoją Olimpu, nie mogą zdać sobie sprawy ze swych duchowych i religijnych potrzeb, cóż mówić o burżuazji hołdującej tylko złotemu cielcowi, o ludzkiej, którego myśl zajęta coraz to trudniejszą kwestyą chleba, porzuciła orle szlaki i wedle Krasinińskiego „żyje dla paszy i o paszy myśli“.

Cały zresztą sposób i warunki życia nowoczesnego składają się na to, by z człowieka zrobić albo bezmyślną istotę, albo dyletanta. Przypatrzmy się jednemu z salonów paryskich, które bądź co bądź nadają ton całemu światu.

Warunki bytu i mieszkania „metodą przystosowania“ muszą do tego wieść człowieka, żeby był wszystkim, o wszystkim wiedział i mówił, a właściwie nie był niczem. W tem właśnie polega istota dyletantyzmu.

Jest właśnie five o'clock. Mdłe światło lampy przesloniętej kloszem różowym lub niebieskim, rzuca słabe błyski na kryte jedwabiem meble salonu. To właśnie arena, na której Renan bywa podziwiany, gdzie zbiera wszystkie oklaski i wawrzyny, gdzie tylko czasami spotka się z szeptem protestu.

„Home“ — to człowiek, powiadają słusznie Anglicy; jaki sprzet, takimi i ludzie.

Na ścianie widzimy makaty, jedna z Japonii, druga średnio-wiecznym wyrobem, wiszącym niegdyś w jakiej gotyckiej katedrze, póki moda nie zrobiła z niej ozdoby salonu. Z obrazów jeden przedstawia Wenecyankę w gondoli, drugi obozowisko cyganów, trzeci scenę wyścigową z tłumem bookmakerów, akwarela na fortepianie oddaje lubieżne kształty starożytnej Galatei.

Na stole i kominku tysiące cacek i „petits riens“, strzępy z wszystkich wieków, czasów i krajów: brzozy renesansowe i figurki chińskie, kamee greckie, szkła weneckie i rzeźby w złocie XVIII w.

W rozmowie, którą tu słyszymy, mieszają się echa wspomnień najrozmaitszych ksiązek, podróży, rozmów i przygód.

Na piętnaście osób trzech nie będzie jednego i tego samego zdania o literaturze, polityce i religii. Jest tylko jedna wiara wspólna, lecz to nie przekonanie, a konwenans, przyzwoitość towarzyska — blaga.

W atmosferze życia nowoczesnego, przeciążonej prądami tyłu elektryczności przeciwnych, przesyconej atomami wspomnień tyłu wstrząśnień, rewolucyj i zmian, trudno oczywiście o jedność zdań w zasadniczych zagadnieniach życia, jaka znamionowała naszych ojców spokojniejszych, a więc i szczęśliwszych.

Takim ludziom oczywiście Renan przypaść musi do smaku.

Jest to sceptyk wyrafinowany, tworzący z sceptycyzmu przedmiot swego upodobania i dumy.

W Renanie odnajduje siebie samo dzisiejsze społeczeństwo, dlatego on jest jego mistrzem i spowiednikiem, skorym do rozgrzeszenia wszystkiego i wszystkich.

„Renan — powiada Bourget — obdarzony przez naturę głębokiem uczuciem religijnem, jako teolog, poznał wszystkie odpowiedzi na przyczyny duchowego niepokoju człowieka. W wyobraźni swej klękał przed wszystkimi ołtarzami, wdychał aromat wszystkich kadzielnic, powtarzał modlitwy wszystkich liturgij, przejmował się zapalem wszystkich kultów. W pielgrzymce tej umiał przez literę formuł wnikać w ducha dogmatów, zgłębił pięć, czy sześć literatur i filozofij, a więc jakże nie miał być dyletantem, do czego się też przyznawał z patrycyuszowską dumą.“

Renan znał społeczeństwo swe i wiedział, jak dla niego pisać.

Umie brzęknąć uczonością, przytacza długie nieraz cytaty łacińskie, greckie i hebrajskie, stronnicze całe pisze, czy w tekście oryginalnym była litera daleth czy resch, ale głównie starał się o rozumienie siebie przez bulwary. Charakterystyka króla Salomona wykazuje, że lepiej rozumiał się na tajemnicach toalety paryżanki, niż na egzegetach.

„W naszym wieku — mówi Prospero z L'Eau de Jouvence do Gotescala — jak można mówić o moralizowaniu mas. Czyż nie widzisz bezskuteczności wszystkiego. My sami bywamy wstrzeźliwymi przez trzy dni, bo czwartego zamyślamy popuścić cugli. Jeżeli inni nie zamierzają tego zrobić — pocóż ich męczyć moralami?“

Zdanie to charakterystyczne, to pobłażliwy uśmiech kapłana z Nemi na wszystkie szaleństwa i błędy tak rozumu, jak woli człowieka.

Jeżeli nadto weźmiemy w rachubę, panującą w szerokich kołach niewiarę, która albo nie chce nic wiedzieć o katolicyzmie,

albo starając się usprawiedliwić przed własnym sumieniem, zadawalnia się czczymi surogatami dogmatów i moralności katolickiej, zrozumiemy już łatwo, że Renan być musi mistrzem i wyrocznią czasu. Niepojętem jednak dla mnie, dlaczego cieszy się takim popytem i u nas. Społeczeństwu polskiemu nie wolno flirtować z własnym sumieniem, nie wolno igrać z wiarą ojców i stawiać jej na kartę hazardu. Chorobliwe objawy życia duchowego we Francyi, która jako naród i państwo popada w marazm starości i zgrzybienia, wytłumaczyć jako tako się dają — u nas dobijających się dopiero przyszłości i nieledwie przystępujących do duchowego odrodzenia się, renanizm jest zbrodnią nietylko przeciw Bogu ale i ojczyźnie.

Karol Wróblewski.



Pokusy św. Antoniego.

Legenda psychologiczna. ¹⁾

W jednym z piątków wielkiego postu 1480 r. dwóch osobliwych zakonników weszło do miasta Amberg.

Siostra stróża, który u bramy strzegł bezpieczeństwa mieszkańców, smukła Lorcja, ciekawie się im przypatrywała, gdy obaj z głębokiego cieniu sklepionej bramy na jasną wroczyli ulicę. Długie, czarne płaszcze, kapelusze o szerokich kryzach, a nawet potężne kije okryte wyżłobionymi na nich krzyżkami różniły się wielce od wszystkiego, co w Frankonii widywano.

Jeden z zakonników był to mąż bladej i tak poważny, że Lorcja, raz nań spojrzawszy, nie śmiała drugi raz podnieść ku niemu wzroku, choć dziwna łagodność była z jego oblicza. Drugi, o zżółkłej, zeschłej twarzy i wargach ściśniętych zdawał się być bardzo pewnym siebie; a od czasu do czasu złośliwie się uśmiechał.

¹⁾ Przed trzema laty ukazała się na pułkach księgarskich mała książeczka w ozdobnej oprawie, ze złożonymi brzegami, poświęcona poetce-królowej Carmen Sylva. Tytuł książeczki: „Seelenwanderungen“, autorem jej Józef Klemens Kreibig, treścią zbiór „powiastek i legend psychologicznych“. Tak bowiem sam autor swe utwory nazwał. Książeczka nie narobiła wrzawy, mimo przychylnych recenzji, umieszczonych w niektórych czasopismach. Pragnę jednak zaznajomić czytelników „Przełomu“ ze wspomnianym autorem; a to dlatego, że to, co napisał, jest jedyne w swoim rodzaju. Pomijam powiastki psychologiczne, a kładę nacisk na legendy. W każdym opowiadaniu, osnutem na tle żywotów Świętych, tkwi czynnik psychologiczny. Ale czynnik ten bywa przygłuszonym bądź to zakrojem nadprzyrodzonym wypadków, bądź to moralną tendencją. Otóż Józef Klemens Kreibig napisał legendy, w których na pierwszym planie stoi dusza ludzka z całą skalą uczuć i pragnień; legendy, w których czynnik psychologiczny pierwszą odgrywa rolę, nie ukrywając się przed czytelnikiem. W tem leży czar legend Kreibiga, przyczyna wrażenia, jakie wywierają na człowieku przywykłym wglądać w tajniki własnego serca. A kto do tego nie przywykł, może z nich zaczerpnie ku temu zachętę. W tem upatruję etyczną wartość „legend psychologicznych“. K. T.

Zakonnicy zwrócili się wprost ku ratuszowi, nim jednak do niego doszli, gwar nagle powstały wstrzymał ich kroki. Pochodził ze strony, gdzie kilku swawolnych żołdaków, siedząc przed jednym z domów ulicy, grali w kostki wokoło bębna. Kapelusze i miecze leżały obok nich w nieładzie wielkim na ziemi, miasto broni w rękach mieli puhary z winem, a wygrywając cieszyli się niemal, jakby zwycięstwem odniesionem na polu bitwy.

Zakonnik o wychudłej twarzy spojrział na tę zabawę i rzekł półgłosem do drugiego: „Słuchaj no, Janie, to nielada sposobność; chodź i obacz!” Przyczem znacząco mrugał oczyma; ale Jan ruszył ramionami i odrzekł:

„Eh, trzeba wynaleść coś innego, wielebny przyjacielu; trzeba się brać na sposoby! Ojciec niebieski już niejedną próbę na mnie zesłał; spodziewam się, iż chwycisz się odrazu silniejszych środków.”

„Przyjdzie czas, przyjdzie czas“, odpowiedział zakonnik, któremu na imię było Wolfhardt. I zbliżyli się obaj do żołdaków i przypatrywali się ich grze.

Pode drzwiami siedział młody wojak, pijany. Wejrzenie miał groźne; albowiem wszystko był przegrał; pozostała mu tylko zbroja, a o nią właśnie w tej chwili rzucał kostkami. Grzechotał niemi przez chwilę i rzucił je nagłym ruchem na bęben. Bęben zadudnił. Wygrał wojak młody, a przypadek zrządził, że szczęście pozostało mu i nadal wiernem. Tym sposobem wkrótce nie tylko odzyskał dawne mienie, ale je nawet znacznie powiększył. Szczęście toczyło się dalej; kostki i talary padały to tu, to tam, oczy się skrzyły. I Wolfhardt sięgnął po kostki: wygrał! Już nie jeden grosz przed nim leżał, gdy Ojcu Janowi podał kubek z kostkami, wzywając go do współdziałania w grze. Jan chwycił kubek, silnie nim wstrząsał — wtem nagle się wstrzymał i z największą obojętnością oddał go towarzyszowi.

Zdziwieni spojrzeli nań żołdacy; ale roznamiętnieni grą nie zastanawiali się dalej nad tem, co zaszło. Rzuciwszy kilka razy, młody ów wojak, któremu stałe szczęście sprzyjało, zawołał, zwróciwszy się ku drzwiom:

„Hej, Gospodarzu! Podajcie ojczulkom wina, dobrego, co się zowie, przynieśli mi szczęście, a chcę się im odwdzięczyć!“ I uderzył kałakiem w bęben, aż zahuczało, a jego towarzysze dzikim wybuchnęli śmiechem.

Za chwilę ukazał się gospodarz, niosąc wielki srebrny puhar, w którym szklilo się i woniało wino burgundzkie, tak że gościom ślinka się w ustach zbierała.

„Ależ moi kochani“, rzekł Ojciec Jan, „wszak dziś piątek, dzień postny!“

„Eh, co tam post“, przerwał mu gospodarz, „niech tam i dziesięć postów na dzień dzisiejszy przypada; takiego burgundczyka nie obaczycie chyba już nigdy. Pochodzi z owego roku, kiedy to wielki na niebie ukazał się kometa; ostatnią dziś wytoczyłem beczkę!“

„Ojeze wielebny“, mruknął Wolfhardt, „to zrządzenie Opatrzności, bierz i pij!“

Ojciec Jan przyjął puhar, do ust zamkniętych go przyłożył i przechylił. W tej postawie chwilę stał nieruchomy; woń delikatna wina go owiewała. A potem spokojnie puhar dalej podał i otarł sobie z czoła kroplę potu.

„A to co?“ zawołał fundujący wino: „Wargi Wasze, jak widzę, wilgotne; ale czyście też pili?“ I przyjął postawę niemal groźną.

„Otóż właśnie zem“ — zaczął Ojciec Jan — Wolfhardt mu szepnął: „Powiedz, żeś pił“, lecz Jan spokojnie ciągnął dalej: „... nie pił; albowiem postny dziś dzień.“ I z wdzięcznym uśmiechem ucisnął dłoń towarzysza.

„Tego chyba za wiele“ krzyknął młody wojak i podskoczył gniewnie. „Czy Wy sobie chcecie z nas zakpić?“

Zacnemu Janowi krew uderzyła do głowy i podrażniony bezczelnością młodzika, zawołał: „Dojrzałeś do piekła, ty naczynie grzechu! A niechże cię zaraz —“ ale nagle urywając, nie dokończył przekleństwa; tymczasem młodzik przyskoczył i groźnie wywijał puharem nad głową zakonnika.

Wolfhardt pijanemu podstawił nogę i na ziemię go obalił. Jednym skokiem stanął przy leżącej na ziemi broni, podniósł dzidę i podał ją Janowi.

Młody wojak, winem i gniewem oszołomiony, nie był w stanie dość szybko stanąć na równe nogi; nawpół leżąc chwycił ze szkaradnem przekleństwem za stołek drewniany, aby go cisnąć na przeciwnika.

Reszta żołdaków chętnie byłaby widziała, gdyby ich towarzysz, który ich ograł, był dostał nauczkę. Więc szcując zachęcali zakonnika. Ten zaś podniósł dzidę, do silnego gotując się pocisku — ale z niezwykłą siłą wstrzymał ostrze tuż nad plecyma wroga i wypuścił obojętnie broń z ręki. A zarazem ostatnie ślady gniewu z oblicza jego zniknęły i ponownie cisnął towarzyszowi serdecznie dłoń.

Żoldacy w milczeniu wytrzeszczyli nań oczy, nie pojmując jego dziwnego zachowania się i nie odzyskali mowy, aż zakonnicy pozdrowieniem pobożnem chcieli ich pożegnać.

Wtedy żołdacy zaczęli ich prosić, aby pozostali i nie mieli do nich żalu, że jeden z ich grona tak dalece się zapomniał. A i młodzik po części otrzeźwiały, powstał, przetań oczy i serdecznie zakonników przeproszał.

Grę przerwano; udano się do izby, a wtedy zaroiło się od przystojnych dziewczeczek, które skądś przybywały, by sobie potańczyć.

Zakonnicy udali się do sąsiedniej izdebki, by stamtąd przypatrzeć się zabawie i płasom, przyczem niemało ich może to kosztowało trudu, aby nie brać udziału w radości i ucieście.

Po chwili pojawiła się w izbie przybывая z pod bramy Lorcja. Natychmiast niejeden zbliżył się do zgrabnej, ślicznej dziewczeczki, by ją do tańca zaprosić. Ale pod rozmaitemi sprytnymi pozorami — albowiem Lorcja była i najsprytniejszą w miasteczku dziewczyną — potrafiła się wszystkim obronić, i gdy płasy na nowo się rozpoczęły, wsunęła się do izdebki, w której siedział, ponuro przed siebie patrząc, zakonnik ze swym złośliwie się uśmiechającym towarzyszem.

Tu chyba już sam djabeł się wmieszał: Lorcję napadła ni stąd ni zowąd szalona jakaś pustota i — zawezwała Ojca Jana do tańca.

Zakonnik, widząc przed sobą tak ponętą niewiastę, nie wiedział, jak się znaleźć. A głos jego drżał może trochę, gdy rzekł:

„Ależ, moja kochana panienko, jakżeż można; wszak jestem zakonnikiem!“

„Ale Ojcze“, odpowiedziała Lorcja; „cóż to może zaszko-dzić, gdy odrobinkę sobie potańczymy? Przecież tu nas nie widzą, a Ojcu z pewnością posłużą.“

Już Wolphardt Janowi pomagał zrzucać płaszczy, podczas gdy Jan ze wzrokiem błagalnym na niego spoglądał.

A Lorcja jedną ręką spoczęła na ramieniu zakonnika, zakonnik wziął ją za drugą, objął ją w pól, tak że piersi ich się zetknęły.

Jan wysunął prawą nogę naprzód — jeszcze chwila, i wir taneczny musiał ich unieść, jakoby dwa obłoczki w powietrzu. Ale nie było tej chwili. Ojciec Jan nogę cofnął, uwolnił się ruchem łagodnym i wyjąknął:

„Nie, o nie; nie wolno mi; sprzeciwiłbym się obowiązkom swoim. Przebac, panienko!“

Lorcja przez chwilę stała, jakby skamieniała, ramion nie spuszcżając. Potem głośnym wybuchnęła śmiechem, który brzmiał, jak gdyby stłumiono nim płacz i uciekła.

Wolfhardt gniewnie zacisnął pięść. Ktoby jednak uważnie był spojrział na Ojca Jana, byłby spostrzegł, że potajemnie otarł sobie łzę.

II.

„Przygotowałem już wszystko do ćwiczenia porannego“, rzekł ojciec Wolfhardt, biorąc Jana za rękę.

„A toście sobie w ostatnich dniach dosyć zadawali pracy“, odrzekł tenże z uśmiechem. Ale rękę Wam, żem się zbyt nie natężył. Trzeba wyszukać coś innego, sprytniejszego. Tego rodzaju zasadzek sam sobie nie mało stwarzałem, ale tęskno mi za walkami potężniejszymi, bym jednym zamachem stanął wyżej o kilka zaraz szczebli na drodze doskonalenia się. Zdaje mi się, że układ nasz chyba na moją wyjdzie korzyść?

„Zwolna, zwolna, mój stateczny towarzyszu! Jesteśmy we Frankonii, a więc trzeba postępywać po niemiecku i gruntownie. Niczego nie zaniedbam, żadnej nic opuszczę drobnostki, albowiem tacy nibyto święci potykają się nieraz o ździebełko słomy. Oto, com dla Was sporządził.“

Tak mówiąc, wyszli ze swojej lepianki i udali się wschodami do stojącego tuż obok gmachu wspaniałego. Nie było w nim widać żywej duszy, ale wszystko było wykwiśnięte i ozdobne i zachęcało do stałego tam pobytu.

Wolfhardt rozstał się z towarzyszem w przedsionku; udawał, że zamierza wrócić za chwilę; tymczasem bocznem wejściem udał się do gmachu i śledził potajemnie zachowanie się Jana.

W przedsionku stało wysokie zwierciadło, w którym się oglądając Jan zauważył, że z habitem niekoniecznie mu było do twarzy; a broda długa, pomierzwiona, również nie dodawała mu uroku. Obok zwierciadła leżały na ławie pięknie rzeźbionej nożyce i przybory do golenia; były i maście z dalekiego wschodu i inne rozmaite rzeczy, domagające się niemal, by się nimi posłużyć.

Na zakonniku rzeczy te nie wielkie wywarły wrażenie; ale westchnął głęboko na widok złotem haftowanej szuby i innych wspaniałych szat. Z miną ponurą wdział kilka z nich na siebie; zdawały się być na niego robione.

Ale zrzucił je z siebie, na bok odłożył i kroczył dalej.

W sali następnej inny przedstawił mu się widok. Smaczne potrawy, zastawione na długim stole, wydawały woń, której trudno się było oprzeć. To też zakonnik przystąpiwszy, ukroił sobie kilka kawałków i przyłożył je do ust. Zaraz jednak po-

łożył je znowu na misy. Podobnie postąpił sobie ze starami winami.

Wykonawszy te dziwaczne czynności, udał się do dalszych sal. W żadnej z nich nie brakło środków i sposobności do ziemskich rozkoszy; ale Jan pozostał niewzruszonym.

I tak doszedł do sali ostatniej; okna jej wychodziły na ciemny bór sosnowy.

Zakonnik zdziwiony wokoło się obejrzał. Wspaniałe rynsztunki i zbroje zdobiły ściany, a na dębowym stole w środku sali spoczywał obok rozmaitych przyborów łowieckich i wojennych, przepyszny miecz. Jan dobył go wprawną ręką; ale po chwili spokojnie go wsunął napowrót do pochwy.

Obok miecza leżała na stole włócznia, którą Jan z ciekawością ujął w dłoń, by się jej przypatrzeć. W tej chwili usłyszał łoskot wśród sosen, i gdy, nie wypuszczając włóczni z ręki, przysunął się do okna, by zobaczyć, co się dzieje, ujrzał przed sobą jelenia, który się był zaplatał w gałęziach swemi kończastemi rogami i usiłował się uwolnić.

Żyłka myśliwska odezwała się w zakonniku; drgnął i ręka pewną wzniosł włócznię do pocisku, jak ongi św. Hubert.

Ale wnet blask oczu przygasł, a włócznia uderzyła o podłogę, zamiast w zwierzyne. Mnich westchnął ciężko i zwrócił się ku wyjściu.

Wielce znużony wewnętrznym wysiłkiem, głodny i spragniony mimo wszelkich napotkanych tu okazałości, opasał gmach zaczarowany.

„Jako ćwiczenie poranne to chyba wystarczy“ pomyślał, wracając do lepianki. Oczekiwał go w niej Ojciec Wolfhardt i począł go chwalić z powodu okazanej wstrzemięźliwości.

Wkrótce nadeszła mieszkająca u syna pod bramą miasteczka staruszka, która zakonnikom co południa przynosiła skromne pożywienie. Rozłożyła na stole trochę jabłek, cebuli i chleba razowego, a odchodząc, gorzko się skarżyła na starość nieradość, czyniącą jej każdy krok uciążliwym.

Po odejściu gadatliwej staruszki, Jan z niemalym apetytem zasiadł do jedzenia. Posiliwszy się, nabrał otuchy do borykania się z nowemi pokusami.

Wydobył więc stary foliał, w którym misternemi literkami wypisane były żywoty świętych i zaczął w nich szukać za nowemi pokusami.

Przerzuciwszy kilka kartek niemal podskoczył z radości: „A widzisz, mój kochany“, rzekł, „cały szereg pokus jeszcze

mi pozostał, pokusy św. Antoniego z Teb!“ A czytając dalej, zawołał: „A to pokusy nielada!“

„Myślisz może, mój odważny Panie“, odparł Wolfhardt cokolwiek podrażniony, „żem o nich zapomniał? Słuchaj; jeżeli uporasz się i z temi pokusami, już nie będę więcej siდეł nastawiać na Twą duszę. Mam tego już dosyć, gdyż posłuszny mamidłom, zawsze wychodzisz zwycięsko!“

Jan z wielkiej radości zacierał dłonie: „Jużeśmy tak daleko zaszli? Ależ, mój drogi przyjacielu i pomocniku, jakimże sposobem będzie można stworzyć te ponętne sposobności do grzechu? Ach, tylko nie opuszczaj mnie teraz!“

„Niech Ci w tem Bóg dopomaga“, mruknął Wolfhardt z niechęcią; „a mnie daj spokój!“

* * *

Kula ogniasta słońca z czerwonym blaskiem zsuwała się ku lasom. Kto bawił za miastem, spieszył z powrotem przez bramę, oddaloną ledwie na kilka tysięcy kroków od lepianki zakonników. Właśnie przechodził kościelny, pełniący zazwyczaj służbę w domu Bożym, pozostającym pod wezwaniem św. Marcina, a twarz jego była niezwykle rumianą. Wracał z odpustu, z sąsiedniej wsi; widocznie zbyt głęboko był zajrzał do kieliszka.

„Chyba nie krótko będzie się w piekle smarzył, aż wypoci wino, którym się nad miarę uraczył“, zauważył Wolfhardt i skrzywił się złośliwie. Wtem wiatr strącił mówiącemu kapelusze z głowy.

„Nakryjcie szybko głowę“, rzekł Ojciec Jan, „bo Was poznają“.

„Prawda, przyjacielu! Ale już późno. Lorcja z pod bramy, gdy tędy przechodziła, z osłupieniem spojrzała na moją głowę. Ha, ha! Chyba nie będzie dziś miała zbyt spokojnej nocy“.

Tymczasem noc zapadła, a Ojciec Wolfhardt wziął się do dzieła.

* * *

Co owej nocy zaszło, o tem żadna nie pisze kronika. Dowiedziałem się tylko, że czarujące kobiety, w siódmym niebie Mahometa przebywające, nadaremnie się uwijały wokoło Ojca Jana. Albowiem tenże przypomniał sobie właśnie jakiś trudny bardzo i zawiły ustępek z metafizyki Arystotelesa i rozmyślając nad nim, nie miał w głowie miejsca na inne myśli.

Gdy jednak zaczynał nareszcie przecież tracić równowagę i zwątpienie do serca mu się wkradło, z wieży św. Marcina

wybiła godzina pierwsza. Zaledwie zegar się odezwał, wicher się zerwał i rozwiął w jednej chwili czarujące zjawiska...

Światło w izbie przygasało, przez co postać i oblicze Wolfhardta przybrało wygląd tem wstrętniejszy. Chwycił za płaszcz i gniewnie zawołał:

„Bądź zdrow, zbiorze wszelkiej doskonałości i niedowidzenia! Dam ci już spokój. Chybaś nie z krwi i z kości; a z duchami nie lubię mieć do czynienia.“ I znikł.

„Sześćsiłwej drogi i stokratne dzięki!“ zawołał za nim Jan, pełen radości. Potem oparł się o okienko i wzniósł rozpromieniony wzrok ku niebu. Księżyc w pełni osrebrzał swym blaskiem dachy miasteczka, a światło spływające na warowną bramę, rozsypywało się po niej w niezliczonych brylantach. Stał tak może z pół godziny, gdy z wieży kościelnej uderzyła — znowu pierwsza.

Ojciec Jan nastawił ucho. Nie; nie łudził się. Dzwon z sąsiedniej wioski dał mu pewność. I nagle rozjaśniło się w głowie zakonnika: Pijany kościelny od św. Marcina o pół godziny zawczasie położył kres dziełu Ojca Wolfhardta.

III.

Tydzień mniej więcej minął od owych wypadków. Słońce stało wysoko na niebie: była pora południowa. Ojciec Jan siedząc w swej lepiance, szukał w foliale za nowemi pokusami. Ale był posępny: nie mógł już niczego znaleźć. Wprawdzie wyczytał kilka ciekawych rzeczy, ale trudno było z nich korzystać. Skąd bowiem miał wziąć takiego Juliana Apostatę, lub rozwściekloną zgraję heretyków, lub podobne narzędzia doświadczeń?

Właśnie czytał, jak zagrożono św. Janowi, iż dostanie się w kocioł gorącej oliwy, jeżeli się wiary nie wyprze i jak święty wyznawca nie dał się skusić, a natychmiast wsadzony do oliwy, żadnego nie doznawał bólu.

Przerwał czytanie, albowiem drzwi zaskrzypnęły. Zapewne staruszka przychodziła z jabłkami i cebulą. Jan podniósł oczy — ale to wcale nie była staruszka, lecz Lorcja!

„A cóż z Twoją mamulą?“

„Mamuli nogi dziś służbę odmówiły; dlatego przysłała córkę.“

„Hm! Dzięki!“

„A gdzież drugi Ojciec duchowny?“ zapytała Lorcja, kładąc na stół soczyste owoce.

„O, tego już dawno niema; będzie z tydzień, jak ruszył w dalszą drogę.“

„Bogu dzięki, że sobie poszedł; tak się go bałam.“

„A to dlaczego?“

„Proszę Ojca wielebneho, gdym tu kiedyś koło niego przechodziła, widziałam wyraźnie, że miał nad czołem dwa rozki, małe, czarne! Całą noc oka nie zmrużyłam. Ale musiało to być chyba złudzenie i nie więcej.“

„Ale gdzież tam, moja dziewczeczko, owszem, Ojciec Wolfhardt był to szatan we własnej osobie.“

„Matko Przenajświętsza! Jakże to może być! Szatan by Wam towarzyszył?! — Biedny człowieku, chyba się już nie spodziewacie zbawienia!“

„Przeciwnie, przeciwnie. Gdybyś tylko znała całą sprawę!“

„O, proszę bardzo, proszę mi powiedzieć; tak się o Was złąkałam, że chciałabym wszystko wiedzieć!“

„A więc siadaj i słuchaj“. Lorcja usiadła po drugiej stronie stołu i z uwagą się przysłuchiwała. A Ojciec Jan opowiadał:

„Wyobraź sobie, że byłem ongi srogim rycerzem. Zajęciem mojem były pijatki i łowy; a o zbawienie niewielem się troszczyłem. Raz, w napadzie osobliwej swawoli kazałem schwycić klechę, który nie dość szybko z drogi mi się ustąpił. Zabrałem go ze sobą na zamek, by się jego kosztem ubawić. Ale duchowny nie okazywał żadnej trwogi; i to mnie gniewało. Wśród biesiady kazałem sobie przyprowadzić klechę i zapytałem go, czemu się nie a nie nie boi śmierci. „Nie jestem wprawdzie“, odrzekł, „o wiele więcej wart od Was, ale myślę, że Pan Bóg zlituje się nademną, gdy umrę, i weźmie mnie do Siebie“. Zapytałem go dalej, co chce powiedzieć tem, że się nie mieni być o wiele więcej wartym odemnie.

„Otóż“, odrzekł sługa Boży, „w ciągu całego życia mojego nie byłem prawie nigdy wystawiony na pokusy i dlatego nie wiem, czy jestem cnotliwym. Kto wie, czybym się nie był stał podobnym do Was awanturnikiem, gdybym był wyrósł na Waszym zamku wśród tylu okoliczności do grzechu zachęcających? Dopiero w pokonaniu pokus okazuje się siła moralna i prawdziwa cnota; a cnotą zdobywamy sobie żywot wieczny“. „Ale cóż mi...“ jęknął mój więzień i zaczął ciężko oddychać. Przestraszyłem się i kazałem go natychmiast uwolnić. Za późno! „Jużem wolny“, wyrzekł cichym głosem i upadł bez życia.“

„Jakby piorunem rażony zakryłem na ten widok rękoma twarz i jakby nagłem oświecony światłem poznałem całą zgrozę i okropną występność mego życia. Uczułem swą nicość i z wielkim wysiłkiem, odzyskawszy pozorny spokój, odszedłem. Zamek

i całe mienie podarowałem wiernemu giermkowi, który mnie odprowadził do gościńca. Stamtąd kazałem mu się wrócić.“

„Rozpoczęło się dla mnie twarde życie. Nietylko stawiałem czoło każdej pokusie, którą napotkałem, lecz z coraz większą wprawą wyszukiwałem i stwarałem sobie okazyje do zaspokojenia najrozmaitszych zachcianek — a w ostatniej chwili im się opierałem. Ale doświadczenia, które Pan raczył mi zsyłać, wydawały mi się za drobnymi. Gdy pewnego razu, będąc w Bamberg, modlił się w tumie, błagałem Wszechmocnego, aby mi dał szatana za towarzysza, któryby mnie doświadczał i wprowadzał w pokuszenie.“

„Modlitwa moja została wysłuchaną. Wychodząc z tumy, spotkałem się z zakonnikiem, a wnet się przekonałem, że był nim sam szatan. Aż do niedawna gotował mi on niezliczoną moc najrozmaitszych pokus, tak, że pod ich naciskiem prawie upadałem. Lecz zawsze, gdy się rękami, ramionami, wargami już dotykał owocu zakazanego, zdołałem w ostatniej chwili nad sobą zapanować i zadość uczynić wymaganiom cnotliwości. Szatan tem się tak rozgniewał, że na ostatku klnąc mnie opuścił.“

„Oto rozwiązanie zagadki mego życia. Niechże to, com mówił, będzie Ci przestrożą i zbawienną nauką! Jestem nawet silnie przekonany, Lorciu, że Ci do cnotliwości daleko.“

„Ależ Ojcze“, przerwała rumieniąc się Lorcia, „co Wy tu mówicie!“

„Nie mówię tego na wiatr; czyś już odparła prawdziwą jakąś pokusę, czyś już była w tem położeniu, że ukochany przez Ciebie mężczyzna starał się nakłonić Ciebie do przestąpienia przykazania Bożego?“

„Co to, to jeszcze nie!“

„A więc! Czy poczytałabyś to chromemu za zasługę, że nie napada bezbronnych, lub niememu, że nie klnie? Jeżeli masz zdrowe ramiona, a w gniewie nikogo nie uderzysz, jeżeli posiadasz mowę ludzką, a w nieszczęściu nie narzekasz, jeżeli kochasz, a namiętność Ciebie nie unosi — wtedyś cnotliwą; inaczej nie!“

„Boże mój! Czy to być może, wielebny Ojcze? Ale cóż mam czynić, na miłość Boską, by w obliczu Ojca niebieskiego stwierdzić, że'm cnotliwą?“

„Hm, moja Lorciu, to niełatwa sprawa. Jeżeli chcesz do-
stąpić zbawienia, musisz koniecznie wobec Boga dać dowód, że Twoja cnota wszystko potrafi zwyciężyć. Ale jakim tego dokazesz sposobem, to już Twoja w tem głowa.“

Lorcja się zafrasowała; posiedziała jeszcze chwileczkę w milczeniu; potem pożegnawszy się odeszła.

Uszedłszy kilkanaście kroków, stanęła i białą rączkę przyłożyła do piersi.

„Co to ma znaczyć“, pomyślała, „co mi zakonnik mówił? Niemam być..? Wszak dobrze mi życzy — dalibóg, taki szlachetny z niego człowiek! A taki łagodny i miły..!“

Ojciec Jan zaś nie czuł się już usposobionym należycie do czytania żywotów świętych; za to często spoglądał w ową stronę, gdzie się wznosiła szara brama miasteczka.

IV.

Gdy nazajutrz Lorcja przysła znowu ze skromnym posiłkiem do zakonnika, miała oczka zaczerwienione i płaczem i niewczasem. Ojciec Jan się zapytał, co jej takiego.

„Ach, Ojcze“, żaliła się dziewczyna, „Wasza wczorajsza nauka bardzo mnie zmartwiła. Myśl, żem nie doświadczona w cnocie, że niemam prawa spodziewać się zbawienia, nie daje mi spokoju ni w dzień, ni w nocy.“

„To zaiste przykra bardzo rzecz, kochana Lorcju; żal mi Ciebie serdecznie! Czy zgoła nie znasz mężczyzny, któregośbyś szczerze kochała?“

Lorcja się zarumieniła.

„Ach nie, mój Ojcze; nie znam nikogo.“

Zakonnik bezradnie skubał włosy swej brody i spoglądał z zajęciem na przystojną dziewczynę, przyczem serce jego doznawało jakichś dziwnych wrażeń.

„To rzeczywiście położenie niemile“ rzekł; „ale pomyszę, jakby temu można zaradzić.“

I znowu minął dzień, i znowu zjawiła się u zakonnika Lorcja z koszyczkiem w ręku.

Zmęczona szybkim krokiem usiadła na ławie i opowiedziała zakonnikowi, że się nazajutrz wybiera do krewnej za miasto, aby u niej zabawić kilka tygodni. Rozmawiali jeszcze ze sobą o rzeczach obojętnych, poczem Lorcja nieśmiało się zapytała, czy zakonnik wymyślił już jakieś doświadczenie, któremu by się mogła poddać.

„Tak jest“, odpowiedział Jan; „dziś rano wpadłem na pomysł zbawienny. Muszę Ci się zwierzyć, żem się po gruntownej rozwadze przekonał, że sam nie jestem jeszcze należycie wypróbowany. A więc, moje dziecko, postanowiłem się poddać jeszcze jednej ciężkiej próbie. Będzie ona polegała na tem, że śluby moje mają odnieść zwycięstwo nad miłością dla pięknej niewiasty. Jestem wprawdzie pewny, że uporanie się z pokusą

tą nie będzie wymagało z mej strony wiele trudu; albowiem, dziewczeczko, kto przez tyle pokus przeszedł zwycięzko, co ja, ten się niczego nie lęka! Niech to jednak będzie niejako uzupelnieniem mych ćwiczeń, pokus św. Antoniego z Teb!“

„Jakie to dla Was szczęście, Ojciec wielbny! Możecie tym sposobem zasługiwać sobie na zbawienie — ach, a jaka ze mnie nieszczęśliwa istota!“ westchnęła Lorcja.

„Otóż jest rada i na to“, powiedział Jan bardzo poważnie. „Ponieważ nie masz nikogo, coby mógł wywołać w Tobie walkę między cnotą a miłością, a więc zadowolnij się moją osobą. Będziemy sobie — jedno drugiemu — pokusą! Spodziewam się“, dodał głosem pewnym, „że mi nie odmówisz tej przyjacielskiej przysługi? Ja ci się chętnie odwzajemnię.“

Lorcja stłumionym zawołała głosem:

„Ach Ojciec! W głowie mi się mąci! Chyba na seryo tego nie mówicie?“

„Dlaczego nie? Innego wyjścia niema; jeżeli chcemy przejść przez tę pobożną próbę, musisz się chyba mną kontentować. Jeżeli Ci się jednak zdaje, że nie znajdziesz w swem serduszku ani odrobiny miłości dla mnie, wtedy niezawodnie musimy sobie dać pokój.“

„Ach Ojciec, właśnie że — że daleko mi do obojętności dla Was!“

Ojciec Jan zdawał się przez chwilę tracić równowagę; ale uprzytomniał natychmiast i odrzekł szybko:

„Tem lepiej, tem lepiej. Szczęśliwa z Ciebie niewiasta! Trzeba korzystać ze sposobności. Myślisz, żeby to było dla Ciebie próbą, gdybym Ci był wstrętnym, nieznośnym? Musisz wzbudzić w sobie uczucie miłości dla mnie; a gdy się uczucie to zacznie wzmagać, wtedy masz się go wyrzec, a mnie porzucić — dla cnoty! To niechaj będzie Twoją próbą. Brak Ci odwagi?“

Lorcja wybuchła, głośno szlochając, płacząc.

„Odwagi mi nie brak, — ale...“

„Tu niema żadnego ale. Droga, na którą wkroczysz, nie będzie wysłana różami. Cnota chodzi drogą cierniami zasianą, a nie brak tam ni ran, ni krwi. Ale u końca drogi wita nas nadzieja żywota wiecznego. Wtedy dopiero z podniesioną głową staniesz wśród ludzi i zawołasz: Patrzenie! jestem Lorcja, niewiasta prawdziwie cnotliwa; wy zaś zawdzięczacie Waszą cnotliwość własnej wyobraźni! Czy myśląc o tem, nie doznajesz wzniosłego uczucia?“

Słowa te wypowiedział Ojciec Jan z prawdziwym zapałem, a Lorcja nie mogła się im oprzeć. Straciła zdrową, rozsądną

trzeźwość swoją; opuścił ją spokój, nie zastanawiała się już — stała się inną!

Po upływie godziny pod wpływem wymowy Jana przewróciło jej się już całkiem w głowie. Więc obiecała powrócić nazajutrz i zamieszkać przez tydzień u zakonnika jakoby żona. Potem miała się wybrać w dalszą drogę, do swej krewnej. Intencją zaś swoją poleciła św. Mechtyldzie pannie. I wróciła do domu.

A Ojciec Jan rozmyślał nad tem, jakby należało dalej postąpić.

* * *

„Nie powinienem zadania zbyt ułatwiać“, pomyślał następnego dnia zakonnik i zrzucił habit, z pod którego ukazał się piękny strój rycerski; potem wygładził brodę i schował pismo święte razem z folialem.

Nadeszło nareszcie południe, a z pod cienia bramy wyszła smukła postać i zaczęła się szybko zbliżać.

Wkrótce Lorcia stanęła u zakonnika, witana pobożnem pozdrowieniem.

Przez chwilę spoglądali na siebie zdziwieni, nie mówiąc słowa. Lorcia również się była wystroiła. Czarny stanik z srebrnymi guzikami wyzierał z pod kolorowej chusteczki zarzuconej na ramiona, szyję zdobił zgrabny łańcuszek, a włosy były ujęte w złocistą siatkę. Ale była błądą, gdy złożwszy swój tłumoczek na stole, zmęczona siadła na stołeczku.

Uczuła jeszcze raz wątpliwość, czy nie jest występkiem, do czego się zabierała; ale nie mogła inaczej. Stała się bezwładnem narzędziem obcej woli, ta uczciwa, wesół Lorcia! I cóż ją tak zmieniło? Czy porywająca wymowa, czy sprytnie wywody zakonnika? O nie, dobrze to czuła, że było tem coś wcale innego, coś, co się słowami określić nie daje!

Gdy zakonnik spojrział na błądą dziewczynę, która zaczęła jakby siłą czaru na niego działać, jak nigdy nikt przedtem, poznał, że nie wybrał sobie łatwej próby. Ale niepomierna pewność siebie kazała mu zapomnieć o tem, że ludzie bywają słabi . . .

* * *

A więc stało się, co się stać musiało. Minął tydzień, minęło ich więcej, a brat Lorci, który teraz zakonnikowi przynosił posiłek codzienny, rzekł pewnego razu, iż trzeba mu się samemu wybrać za miasto do krewnej; albowiem zaczyna się o siostrę niepokoić.

Ale Jan nie słyszał, co doń mówiono, tylko patrzył przed siebie, jakgdyby już nie bawił na ziemi.

Za cienką ścianą siedziała Lorcia z twarzą rozpromienioną i stroiła się, by ucieszyć ukochanego mężczyznę. Zmieniła się cokolwiek; rysy jej nabrały coś kobiecego, ale niemniej przeto była miłą i ponętą.

Czy pamiętała o domu rodzicielskim?

O jednej tylko rzeczy pamiętała: o nim, o swoim kochaniu.

I znowu upłynął tydzień upojenia — wtem jednego wieczora stało się coś straszego.

Słońce się miało ku zachodowi. Jan z Lorcją siedzieli w pewnym ukryci schronieniu i trzymali się w objęciach. Jan złożył swe wargi na jej usteczkach, a w tym pocałunku był dla niego cały świat!

Nagle jakby gromu uderzenie całym wstrząsało domkiem. Drzwi z łoskotem się rozwarły. A w drzwiach stanął, obłany krwawą purpurą zorzy — Wolfhardt szatan!

Wyciągnął swe pazury ku kochankom i z szyderczym wrzasnął śmiechem: „Pamiętajcie o pokusach św. Antoniego — przklećcie!” I znikł im z oczu.

Jan się zerwał; szklany wzrok wlepił w ciemności i straszliwie zachichotał. Mówiąc plątał językiem, a płacząc szlochał wśród kureczów.

Dopadł drzwi, roztworzył je na oścież i ryknął na gościniec: „Panie niewódz nas na pokuszenie, ale zbaw nas...“ Brakło mu głosu i upadł na ziemię. Dojrzał owoc jego czynu: oszalał.

Zbiegli się ludzie, a z nimi i brat Lorci i zanieśli zakonnika do lepianki. Znaleźli w niej Lorcję. Była blada jak trup, nie wyrzekła słowa. Jak cień poszła za bratem do domu. Złożono ją na łóżku; napadła ją silna gorączka. Gdy minęły trzy dni, Lorcia leżała na marach. Umarła, nie otworzywszy ust.

Litościwi mieszczanie posyłali oszalałemu zakonnikowi co dzień do lepianki pożywienie. Nad jej drzwiami zastali jednego poranku ten oto osobliwy napis: „Jestem tylko człowiekiem, a nie Antonim“.

Gdy jakiś przechodzeń, idąc gościńcem, mijał lepiankę, zakonnik za każdym razem otwierał okienko i wołał: „Nie wódz nas na pokuszenie, ale zbaw nas ode złego!“

„Amen!“ Dokończył zazwyczaj przechodzeń i zamyślony kroczył dalej.



O zaniku szlachty niemieckiej.

Szlachta — jakiegokolwiek są początki jej powstania — opierać się musi na posiadłości ziemskiej, jako na podstawie swego bytu i rękami naczelnego stanowiska w narodzie.

Z natury swej jest to żywioł konserwatywny, przywiązany do wiekowych tradycji, a więc i majątek jego, dający sam przez się niezależność i szeroki zakres działania, musi dawać pewność trwałego i bezpiecznego posiadania.

Takim jest zaś tylko ziemia.

Fortuna narażona na grę i hazard przemysłu może się rozchwiać w mgnieniu oka; właściciel zaś wsi nawet wskutek bardzo złej gospodarki rzadko przychodzi do zupełnej ruiny. Dlatego to największe nawet fortuny kupieckie i kapitał ruchomy przechodzą zazwyczaj jak grosz zdawkowy z rąk do rąk, posiadłości ziemskie wiekami pozostają przy jednej i tej samej rodzinie. Gdzie zatem szlachta wyzuła się sama z posiadłości ziemskiej, lub była z niej wyzuta, tam traciła zawsze grunt pod nogami i prędzej czy później musiała się zlać z potężną szarą falą burżuazji.

Wniosek stąd łatwy do wysnucia, że los szlachty w każdym kraju jest ściśle związany z jego stanem ekonomicznym i zawisłym bardzo od faz, przez które przechodzi sprawa większej posiadłości ziemskiej — słowem kwestya agrarna.

Widzimy to najlepiej na Niemczech. Pod względem ekonomicznym dzieli się one na dwie części, rozgraniczone od siebie Elbą. W części zachodniej, bliższej Francji, kraj stoi wyżej ekonomicznie, gospodarstwo rolne jest umiejętne, intensywne, starające się wyciągnąć z ziemi wszystkie możliwe korzyści.

Rolnictwo jest tu podobne do spekulacji, ziemię uważa się za kapitał zmuszany do dawania największego procentu. Posiadłość ziemska podlega tu zatem prawie tym samym prawom co kapitał ruchomy, zmienia często swych właścicieli, a jeżeli

napotyamy w tych prowincjach szlachtę, to niczem nie różni się od mieszczaństwa.

Ma ona wprawdzie łatwiejszy dostęp do urzędów, ale też i na tem koniec. Rodziny przedstawicieli najstarożytniejszych nazwisk żyją zazwyczaj tylko ze szczupłej stosunkowo pensyi, historia ich jest przeciętnie dość szarą i smutną.

Ojciec nie mógł się żenić aż bardzo późno, póki nie doszedł do odpowiednich dochodów, córki są bezposadne, a więc nie wychodzą za mąż, cała troskliwość rodziców zwracaną bywa zazwyczaj na synów.

Ratuje się pozory, jak można — synowie prowadzą życie nad możność i stan, córki mają na ulicy uśmiech i jedwabie, choć w domu różnie bywa.

Inaczej rzecz się ma we wschodnich prowincjach państwa, gdzie szlachta niemiecka do dziś dnia ma swoją warownię, swój „Hochburg“.

Prowincye te, a zwłaszcza Prusy przechodziły zupełnie odmienną formację dziejową, a więc i wyjątkowe muszą panować w nich stosunki. Za Askańczyków nie było w nich zgoła mieszczaństwa, tylko junkier i chłop. Kiedy w innych prowincjach niemieckich na wzór Francyi absolutyzm monarchii rozwijał się z pomocą burżuazji, zawsze skorej do zatargów ze szlachtą, w Brandenburgii wszystko szło starym porządkiem rzeczy.

Ludność wiejska, którą elektorowie niejednokrotnie starali się dla siebie pozyskać, będąc skazaną na ciężką pracę fizyczną, z natury swej uchylała się od wielkich agitacyj politycznych. Wojna trzydziestoletnia, tak poważna w skutki, nie wydała tu żadnych zmian; kraj tylko wyludnił się i zubożał.

Wojny dopiero napoleońskie, hasła równości, niepodległości i braterstwa, w imię których żołnierz napoleoński szedł w ogień, otworzyły oczy Prusom. Po bitwie pod Jena przekonały się one, że Francyi nie pokonają nigdy, nie przeciwstawiwszy jej armii takiej, jaką była armia francuska, znająca imię wolności i walcząca pod jej wrzekomym sztandarem. Chcąc zaś taką armię stworzyć, trzeba było dać ludowi pruskiemu to, co miał już lud francuski, trzeba było znieść poddaństwo chłopu i zburzyć stary lamus feudalnych instytucyj.

Ślad w ślad za tem szła reforma stosunków ekonomicznych i społecznych. Przedewszystkiem przepadła na wieki owa sielanka:

Beatus ille, qui procul negotiis paterna rura,
Bobus exercet suis . . .

Szlachcic, nie potrzebujący dawniej płacić ni służby, ni konia do orki, ni wołu, ni żadnej rzeczy, która jego jest, teraz przy lada sposobności musiał sięgać do mieszka. Wpływu swego jednak i znaczenia nie stracił od razu. Robotnik polny odbierał zapłatę nie w monecie brzęczącej, ale in natura; kontraktu najmu szlachcic nie zawierał z pojedynczymi chłopami, ale z całemi rodzinami Instmannów, których położenie było takie same, jak naszych chłopów przed zniesieniem pańszczyzny.

Między dworem a wsią wyradzał się stosunek ściślejszej zależności, dobrobyt i losy dziedzica obchodziły chłopą bardzo, bo były podstawą jego własnego dobrobytu. Posłuszeństwo i przywiązanie do panów stało się rysem jego charakteru; szlachta do niedawnych jeszcze czasów była duchową przewodniczką narodu i duszą państwa niemieckiego.

Rozwój ekonomiczny zmienił te stosunki całkowicie. Wprowadzenie maszyn rolniczych, kończących orkę, siejbę i młóckę, w bardzo krótkim stosunkowo czasie ograniczyło sumę pracy jak około roli do minimum, zawieranie umów rocznych z Instmannami pokazało się niepraktycznem, a natomiast poczęto używać robotnika za zapłatą dzienną. Węzły łączące dawniej szlachtę z ludem rozluźniały się coraz bardziej, typ dawnego chłopą, ciałem i duszą przywiązanego do swego pana, zaczął znikać, miejsce zaś jego zajmował robotnik nowożytny, człowiek bez tradycyji, bezdomny, a więc stanowiący żywioł niespokojny, z natury swej wrogi szlachcic i tym wszystkim, którzy są od niego szczęśliwsi, bogatsi, więcej stateczni. Za utratą moralnej przewagi i znaczenia bezpośrednio szła i majątkowa ruina szlachty.

Do roku 1855—1870 gospodarstwo wypłacało się bardzo dobrze.

Przypadające na ten czas odkrycie złotonośnych łożysk rzecznych w Australii zniżyło kurs złota, a podniosło ceny żywności, a na zwiększenie popytu chleba złożyło się naraz odrazu kilka bardzo pomyślnych przyczyn — jak zaprowadzenie wielkich sieci kolejowych, wojna krymska, która przerwała wywozowy handel rosyjski i secesya w Stanach Zjednoczonych.

System intensywnego gospodarstwa — ta manchesterska metoda hyperprodukcji na roli — budowanie rolniczo-przemysłowych zakładów, olbrzymich gorzelnii etc., sprawianie kosztownych maszyn rolniczych, wymagało znacznych nakładów i zmuszało szlachtę uciekać się do źródeł kredytu.

Kapitał znajdowano w bankach łatwo, a nawet do r. 1870 właściciel dóbr ziemskich, gospodarzący umiejętnie, mógł z korzyścią obciążać swój majątek.

Płody ziemne były zawsze w dobrej cenie, dzierżawa przynosiła nieledwie 8%, a od pożyczki hipotecznej płacono tylko 4%, nie dziw więc, że kierowano się w owym czasie zasadą: Im więcej się kto hypotekuje, tem więcej i tem prędzej się z bogaca.

Istniejące we wschodnich dzielnicach Niemiec „Landschaffty“, odliczając z 4%— $\frac{1}{2}$ % na amortyzacją pożyczki, miały jeszcze więcej wabiku dla hazardownych spekulantów.

Na razie zdawało się, że pożyczka w tak korzystnych warunkach tylko przysporzyć może dziedziczną fortunę. Junker von Strassow, obdłużywszy wieś wartającą 100,000 talarów do wysokości 66,000, kupował drugi majątek, zadłużał go znowu na 44,000, za uzyskane pieniądze kupował wieś trzecią i nagle w ciągu kilku miesięcy stawał się panem fortuny szacowanej na 300,000 talarów. Cóż znaczy, że ciężyło na niej 200,000 długu bankowego, jeżeli ziemia daje stale 8%, zboże ma szalony zbyt na targach Europy, jeżeli przez wygodną, na czterdziestolecie rozłożoną amortyzacją może się wypłacić do ostatniego szelązka.

Któżby się spodziewał, że wśród kwiatów przyczaił się zdradliwy wąż kusiciel.

Nie dziw więc, że w tym czasie szlachta niemiecka rzuciła się gorączkowo do spekulacji bankowych. Skupić jak najwięcej ziemi w swem ręku stało się życzeniem każdego, bo zwyczajka w cenie ziemi prowadzi zawsze do koncentracji jej w posiadaniu niewielu, kiedy przeciwnie niżka bywa często powodem do parcelacji.

Widzimy też powstające w tym czasie na grzańskim gruncie kredytu latifundia i szlachcie gospodarzący dawniej spokojnie na kilkunastu włókach ziemi, t. zw. Hufe, nie rozumiał teraz co znaczy gospodarzyć, a nie mieć przynajmniej 2000 morgów.

Ze zwiększaniem się posiadłości wzrastały i nakłady, wzrastały się i potrzeby, bo choć Niemiec lubi rachunek i kredkę rad trzyma w ręku, wszakże i on jest człowiekiem i jego także życie unosi.

Nagle od r. 1874 wskutek konkurencji z handlem zbożowym Ameryki i upadku przemysłu gorzelnianego (eksport alkoholu niemieckiego w 1881—1882 wynosił milion hektolitrow, w r. 1892 już tylko 70,000 hl.), ziemia zaczęła spadać w cenie, od tego też czasu datuje się coraz to trudniejszy zbyt produktów.

Wielkie kompleksa majątkowe stały się dla właścicieli kłopotem, gospodarstwo opłacało się coraz słabiej, w latach

bardzo złych, lub nawet gorszych brakło pieniędzy dla banków nieugiętych w swoich żądaniach: „Redde, quod debes...“

Teraz dopiero pokazała się odwrotna strona medalu.

Licytacje szły za licytacyami, a ci, którzy mimo wszystkich kataklizmów potrafili się utrzymać w posiadaniu ziemi, zmuszeni są albo żyć ze skromnych dochodów części majątku wolnej od długów, albo wikłać się w nowe zobowiązania wekslowe i wieść kłopotliwe życie bankrutów, nieuznanych jeszcze za niewypłacalnych.

Jest to ciągle odnawianie weksla i zyskiwanie na czasie, które przy coraz to niepomyślniej kształtującej się kwestyi agrarnej w Niemczech, niebawem skończyć się musi.

Dziś już przedstawia się ona bardzo smutnie. Tablica powyższa da nam niejaki wyobrażenie o zadłużeniu ziemi w Niemczech tylko u prywatnych wierzycieli, a więc bez wliczania w to długów bankowych.

Powiaty	Dochód roczny w mil. marek	Długi	Procent
Królewiec	14·3	7·3	51
Gumbinnen	7·4	3·2	44
Gdańsk	8·0	3·9	48
Marienwerder	10·5	6·0	58
Poczdami	30·1	16·0	53
Frankfurt	12·9	6·2	48
Szczecin	12·7	6·1	48
Koeslin	7·7	5·0	65
Stralsund	6·4	3·2	50
Poznań	14·9	8·9	60
Bydgoszcz	9·6	5·7	60
Wrocław	24·5	10·7	44
Lignica	13·0	6·5	50

Statystyka, ta nieubłagana umiejętność, prawdziwie prze-rażające podaje cyfry, jeżeli 44% z 66% dochodu rocznego zjadają długi prywatne, a gdzie raty bankowe, gdzie tysiączne inne zobowiązania, gdzie koszt utrzymania?

Zagrożona w posiadaniu szlachta niemiecka szuka ratunku w małżeństwach z córkami bogatych kupców, fabrykantów, piwowarów bawarskich, lub żydów giełdjarzy i bankierów.

Znaczne posagi nie ratują jednak położenia, bo każdy z nich, ożeniwszy się z córką bogatego „Komerzienratha“ staje się zależnym od woli teścia, który zazwyczaj każe najrychlej majątek likwidować, przenieść się do miasta i żyć spokojnie z obcinania kuponów.

Po sprzedaniu wsi każdy junker pruski prędzej czy później musi się zrość i zasymilować z mieszczańskimi sferami, w które wszedł i z wszystkich dawnych tradycyj zachowuje tylko kilka pałek nad koroną herbową i przyczepkę „von“.

Zresztą nie różni się niczem od „Spiessbürgera“, przejmując wszystkie jego zapatrywania i wady.

Żywiol mieszczański ruguje szlachtę coraz to więcej ze wsi i na samym Pomorzu na 1172 właścicieli ziemskich jest szlacheckiego pochodzenia tylko 295.

Nawet w armii pruskiej, otoczonej od pogromu Francyi takim nimbem aureoli nadaje ton nie dawna arystokracja niemiecka, ale bogata „złota“ młodzież kraju, synowie dorobkiewiczów, wogóle tych, o których wczoraj nikt nie słyszał, a którzy dzisiaj są wszystkim.

Europa cała olbrzymimi krokami zdąża do zupełnego przeobrażenia i zanik szlachty uważać potrzeba tylko za etapę w tym pochodzie ludzkości do nowych kształtów bytu.

Berlin, 15. sierpnia 1895.

Z. Gostomski.





Towarzystwo Wzajemnych Ubezpieczeń
w Krakowie.

(Dział ubezpieczeń na życie.)

Biura agencji jeneralnej
na Wiedeń

znajdują się

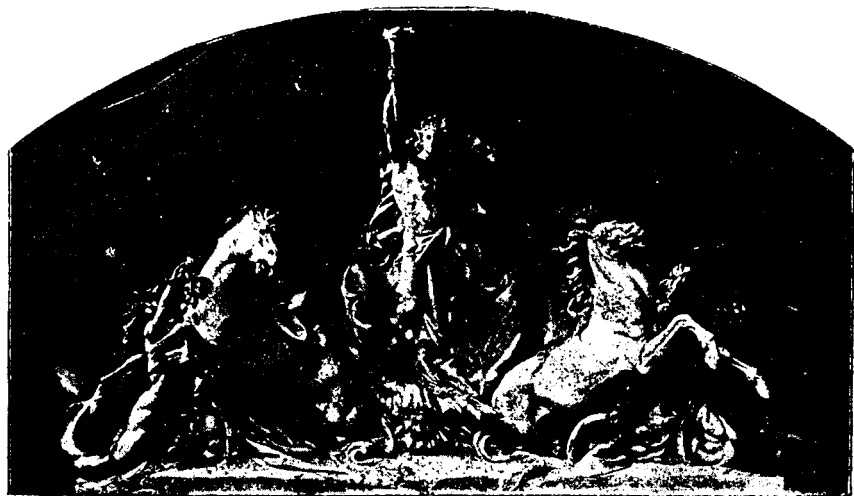
I. Bez., Hohenstaufengasse Nr. 9.



J. C. Hernick

Odlewnia artystyczna, cyzelernia i fabryka wyrobów kruszczowych
we Wiedniu, X. Alxingergasse I. 95

poleca się do wykonania odlewów pomników, figur, ornamentów, nagrobków etc. z brązu, cynku i innych trwałych kruszców, podług modeli lub rysunku. — Za wykonanie artystyczne i rzetelne zarezczęm, przesyłam kosztorysy, rysunki etc. z całą gotowością.



Gotowa kolosalna grupa „Helios“ z cynku nadająca się do udekorowania studni i wodotrysku w wielkim ogrodzie lub placu jest tanio do nabycia. fotografie i kosztorys takowej franco.



Pomada „Phönix“

na wystawie higienicznej w Sztutgarcie 1890 odznaczona. jest wedle lekarskiego orzeczenia i tysięcy pism dziękczynnych uznana jako jedyny istniejący, istotnie dobry i nieszkodliwy środek, aby u pań i panów wywołać pełny i bujny porost włosów, usunąć wypadanie jak i łuszczenie się. Wywołuje także u bardzo młodych panów silny porost wąsów. Zarezczęm za skutek i nieszkodliwość. — Słoik 80 ct. pocztą lub za zaliczką 90 ct.

K. HOPPE

Wien, XIV. Hütteldorferstrasse 81.



Jedyny w Wiedniu polski.

SKŁAD TUTEK CYGARETOWYCH, PAPIEROŚNIC etc.
Karoliny Czerwińskiej

I. Liliengasse Nr. 1

poleca swe znane z dobroci wyroby po cenach fabrycznych.